

cena 50 gr.

WSPOMNIENIA

Z PRZED

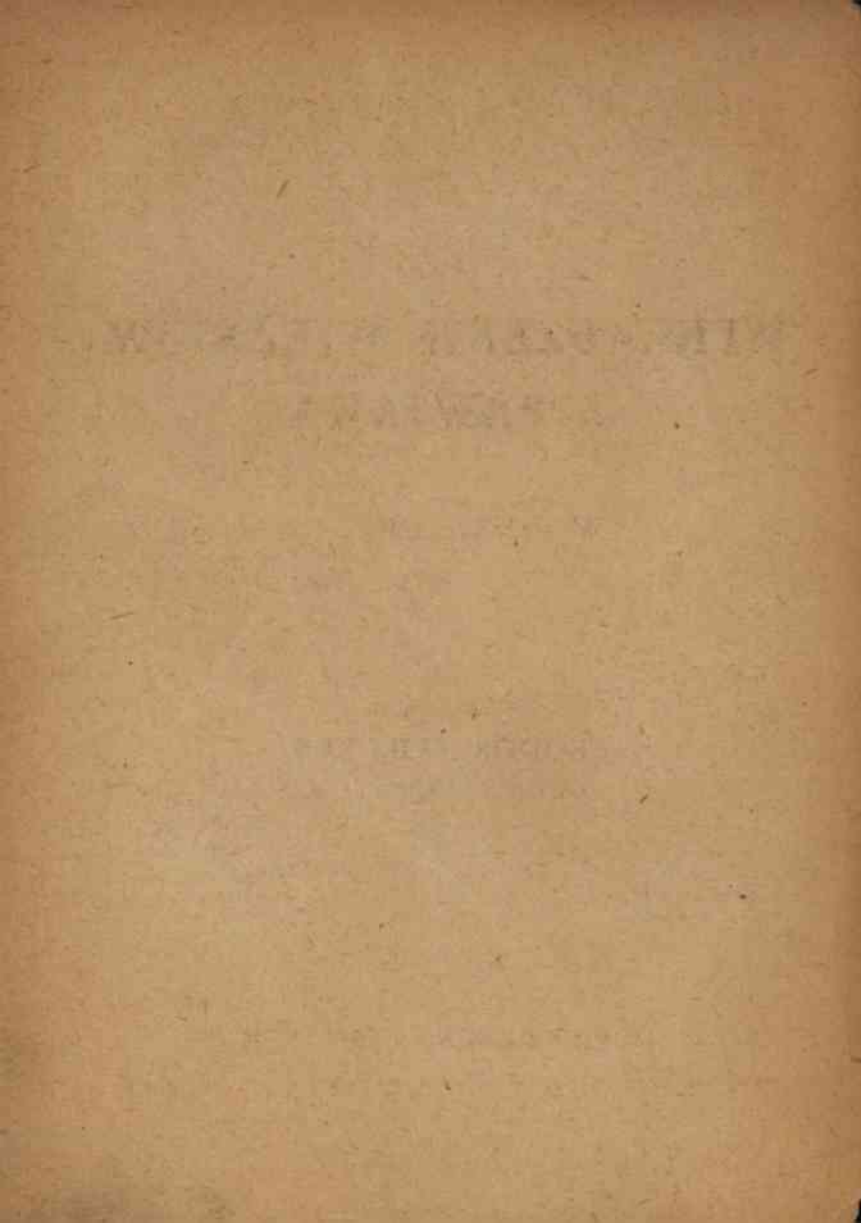
XXV LAT



WYKRADZENIE WIĘZNIÓW z PAWIAKA

WARSZAWA - r. 1931

UL. M. NIEKŁÓWST



W. WŁADIMIROW

WYKRADZENIE WIĘŹNIÓW Z PAWIAKA

WYDANIE DRUGIE

973

WYDAWCA

TEODOR WIĘCKUS

OTWOCK, UL. ORLA 4



1000182634

WARSZAWA — 1931 ROK

Nakładem drukarni B. Grabowskiego, Jasna 14, tel. 219-61

A 35680

Hist. 10a

K 401/02/147

**BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN**

I. Przedwstępne przygotowania.

W roku 1906 z więzienia śledczego na Pawiaku w Warszawie wykradzono 10 więźniów politycznych.

Zrobione to było w tak wyjątkowych i szczególnych warunkach, bez naruszenia zamków, łamania drzwi, bez jakiegokolwiek przemocy nad administracją więzienną, że trudno nie podziwiać śmiałości, pomysłowości i precyzji w wykonaniu zamierzonego planu. Ze względu na szczegóły, ucieczka ta wydaje się podobną do jakiejś bajecznej epopei, której bohaterowie zwalczają wszelkie przeszkody, przenikają grube mury więzienne, przerywają zaczarowane kręgi i ratują umęczonych ludzi. Wszystko uchodzi im bezkarnie, jakby posiadali w ręku tajemniczy talizman. Tak i w tej „bajce rzeczywistości!... Dziesięciu uwięzionym wręczono akt oskarżenia, według art. 279, grożącego karą śmierci. I oto zjawia się garstka ludzi, obdarzonych talizmanem męstwa i niewzruszoną stanowczością „zwyciężyć lub umrzeć“. Widziałem się z tym rzekomym rotmistrzem żandarmskim Budbergiem, obecnie pułkownikiem Wojsk Polskich Jur-Gorzechowskim, który wyprowadził z więzienia skazańców. Przyszedł on z zu-

pełną swobodą do mego hotelowego numeru i długo ze mną rozmawiał, obszernie opowiadając o najdrobniejszych szczegółach ucieczki.

Jest to młody mężczyzna, nie liczący więcej nad 32 do 34 lat, wysoki, pięknie zbudowany. Jego otwarta, wytworna fizjognomja, łagodne, dobre oczy, odrazu do niego usposabiają. Cała figura nie zdradza wielkiej siły fizycznej. Jest smukły, giętki i zapewne zręczny, lecz nie silny. Bardzo inteligentny i rozwinięty umysłowo. Mowa jego sprawia równie dodatnie wrażenie, jak i on sam. Mówił łagodnym, serdecznie brzmiącym głosem, bez cienia jakiegokolwiek pozy, ze zbytnią nawet skromnością, gdy mówił o sobie. Tak naturalnie przedstawiał on obraz ucieczki, z rozważą zatrzymując się na niektórych okolicznościach zmuszających do ostrożności, lub budzących niebezpieczeństwo, składając tem dowody wielkiej spostrzegawczości i bacności na wszelkie drobiazgi, z którymi trzeba było się liczyć, przy współrzednem zachowaniu zupełnego spokoju i obojętności na niebezpieczeństwo.

Widząc go tak spokojnie siedzącego w moim numerze i opowiadającego z prostotą epicką o tem co było — mimowoli pomyślałem: czyżby istotnie, po wykonaniu swego planu — mógł on również spokojnie mieszkać w dalszym ciągu w mieście, jak teraz — z zupełną abnegacją niebezpieczeństwa, gdy siedział naprzeciw mnie przy stole? A może też znikł on na czas pewien gdzieś za granicę, żeby go narazie nie poznano, chociażby przy przypadkowem spotkaniu któregośkol-

wiek z oficjalistów więziennych, którzy widzieli go, gdy spełniał „na Pawiaku“ swoją „czynność żandarmską“. Zapytałem go o to i otrzymałem następującą odpowiedź:

— Nie, nie wyjeżdżałem z miasta i nie zmieniając trybu życia, wychodziłem jak dawniej na ulicę, spacerowałem, spotykałem się ze swymi przyjaciółmi. Pewnego razu, niedługo nawet po dokonanej fackie, spotkałem się wypadkowo z nadzorcą więzienia, który wydał owych więźniów politycznych. Jechałem tramwajem... nagle tuż obok mnie usiadł nadzorca. Spojrzałem na niego, on również bacznie mnie obejrzał. W pierwszej chwili wydało mi się, że poznał mnie; sytuacja stawała się drażliwą: lada chwila mógł zrobić alarm, krzyknąć na patrol i oddać mnie w ręce administracji; lecz, widocznie, nie starczyło mu determinacji. W spojrzeniu jego zdołałem pochwycić jakieś pomieszanie, obawę i pewne wahanie, a następnie, prawie nagle i determinacyjnie wyskoczył on z tramwaju, ja zaś pojechałem dalej.

Rzekomy baron Budberg — tem nazwiskiem będę go nazywał — był członkiem Polskiej Partji Socjalistycznej, tak zwanej P. P. S.

Ucieczka, którą opisuję, była przygotowana przez tę właśnie partję i prócz „barona“, brało w niej udział jeszcze sześciu „policjantów“, z których jeden był „starszym“. Prócz tego zorganizowana jeszcze była rezerwa z kilku ludzi. Obowiązkiem jej było zabrać 17 rewolwerów, pozostawionych w karecie więziennej,

a których partja nie chciała pozostawić w rękach policji. Przy wyborze osób, którym zamierzono dać wolność, partja kierowała się jedynie wysokością kary, grożącej uwięzionym: pozostawiała ona zupełnie na stronicie względy partyjne i nie zwracała uwagi, czy więzień należał do ich partji, czy też do jakiej innej. Mając to na względzie, Polska Partja Socjalistyczna zebrała uprzednio dokładne wiadomości, komu ze znajdujących się w więzieniu śledczym grozi kara śmierci; następnie postarano się wyjaśnić, kto z tej kategorii uwięzionych najbardziej jest beznadziejnym, z mocy jawnych przeciwko niemu poszlak, oraz kto najbardziej jest nienawistny dla administracji.

Otrzymawszy w ten sposób ostateczną listę pod sądnych, którzy nie mogli uniknąć śmierci — partja postanowiła ich ocalić. Odnośnie do jednego z tych dziesięciu, decyzja zapadła w ostatniej chwili.

Przed ułożeniem odezwy urzędowej od warszawskiego oberpolicmajstra do naczelnika więzienia śledczego, niespodziewanie otrzymano wiadomość, że według aktu oskarżenia, wręzonego jednemu z dziesięciu, zamiast kary śmierci projektuje się inna kara, wtedy gdy drugiemu więźniowi p. M. zupełnie nieoczekiwanie wręczono akt oskarżenia tego samego dnia, grożący śmiercią — oskarżenia zupełnie nieuzasadnionego.

Nikt z adwokatów, ani też sam M., nie oczekiwał tego.

Z tem wszystkim, Polska Partja Socjalistyczna postanowiła i jego ocalić i włączyła do listy osób, które miała uwolnić.

Trzeba zauważyć, że partja uznała za lepsze nie uprzedzać o tem więźniów, iż w czasie oznaczonym zjawią się w więzieniu ich zbawcy: bała się ona, że ktokolwiek z nich może ujawnić zbytne wzruszenie, nie potrafi zapanować nad radością i popełni jakąś nieostrożność.

Niewłaściwe spojrzenie, uśmiech, ożywiony wyraz twarzy, szybkość ruchów — wszystko to mogło zdradzić, zniweczyć całe to ryzykowne przedsięwzięcie i dlatego postanowiono utrzymać wszystko w tajemnicy i nie uświadamiać uwięzionych towarzyszy.

Oprócz rzekomego żandarma Budberga, udało mi się zobaczyć i poznać się z jednym z pseudo-policjantów, który miał wyznaczoną bardzo ważną rolę.

Z jego opowiadania wyniosłem przeświadczenie, że musieli oni porządnie się napracować, zanim mogli przystąpić do akcji.

Przedtem odbyli oni liczne próby, różne repetycje i dzięki temu osiągnęli zdumiewającą karność. Role każdej osoby były ściśle określone, i każdemu wskazane, — by każdy mógł je wybornie odegrać.

II. Wydanie rozkazów.

O godzinie 1-ej po północy zatelefonował do więzienia śledczego nibyto oberpolicmajster m. Warszawy — Meyer i wezwał dyżurnego urzędnika.

Do telefonu podszedł pomocnik naczelnika więzienia, znajdujący się w owym czasie na dyżurze.

Przyłożywszy słuchawkę do ucha, poznał on odrazu głos oberpolicmajstra: Meyer mówił jakoś nadzwyczaj wolno, metodycznie, równym, przyciszonym głosem z nieznacznym akcentem.

Pomocnik naczelnika więzienia znał dobrze manierę oberpolicmajstra — i dlatego zapewne zawsze mógł odróżnić głos jego od setki innych.

Gdy ten głos wyższego zwierzchnika ozwał się w słuchawce telefonu — „dyżurny“ w więzieniu zamienił się cały w słuch, notując w pamięci każde słowo z tego, co było mówione. Pseudo-oberpolicmajster polecił mu wziąć fonogram i zapisać jego rozporządzenie, żeby nie było jakiegokolwiek nieporozumienia. Dyżurny spełnił to polecenie.

Mniemany naczelnik policji rozkazał mu natychmiast przygotować wszystko, co było koniecznem dla wyprawienia dziesięciu więźniów z więzienia śledczego „na Pawiaku“ do X pawilonu cytadeli warszawskiej ze szczegółowym wymieniem ich imion i nazwisk. Zarazem żądał, żeby wyprawiono ich w karecie więziennej, ponieważ karety policyjne wszystkie były zajęte i prosił przyspieszyć niezbędne przygotowania,

gdyż za kwadrans przyjedzie do więzienia oficer żandarmski z konwojem, którego zatrzymywać w żadnym razie nie można.

Wydawszy to rozporządzenie, rzekomy oberpolicmajster zażądał, żeby „dyżurny“ odczytał to, co było przez niego zapisane dla sprawdzenia, czy nie zaszła jakaś pomyłka co do nazwisk — poczem, gdy się przekonał, że wszystko w porządku, telefon zamknął.

Dyżurny w więzieniu wydał natychmiast niezbędne rozporządzenia. Osobista prośba oberpolicmajstra: „działać spiesznie“, sprawiła swój skutek, zaczął też gorączkowo wydawać rozkazy dozorcóm, żeby pobudzili więźniów i przygotowali ich do natychmiastowego wyjazdu, sam zaś usiadł przy biurku, celem przygotowania osobistych dokumentów więźniów dla wręczenia oczekiwanemu rotmistrzowi żandarmów.

W tej chwili przypomniał sobie, że nie dał jeszcze rozporządzenia woźnicy, żeby ten zaprzął konie i prędzej zajechał z kareta więzienną.

Wiele trudu kosztowało rozbudzenie wśród głuchej nocy dozorców i woźnicy. Po chwilowem zamieszaniu i bieganinie, wszystko niebawem się uspokoiło..

Każdy spieszył wykonać otrzymane rozkazy i po upływie pewnego czasu w więzieniu zapanowała cisza.

III. Przed Pawiakiem.

Więzienie pogrążone było w śnie głębokim. Z pośród nocnej mgły ponuro występowały ogromne mury więzienne, podobne do olbrzymich głazów kamiennych. Ciszy martwej i spokoju nic nie przerywało, niekiedy tylko dolatywały echa miarowych kroków szyldwachy, chodzącego koło murów więziennych, a nadto połyskujące w szybach nikłe światełka mówiły przypadkowym przechodniom, że tak się tam życie ciąglego oczekiwania kaźni...

Martwy spokój szedł do samych gmachów więziennych w tę noc ciemną.

Spał mocno i odźwierny przy bramie i nie słyszał, gdy o drugiej godzinie w nocy zajechały dwa powozy, z których wyszli rotmistrz żandarmerji i sześciu policjantów.

Oficer i starszy policjant, podszedłszy do furtki zapukali do małego okienka. Długo nie było żadnej odpowiedzi: w końcu, po silniejszych uderzeniach — otworzyło się okienko, w którym ukazała się głowa rozspanego odźwiernego.

Starszy policjant krzyknął opryskliwie na niego:

— Cóż to, nie widzisz? Przyjechał pan rotmistrz żandarmerji!...

Rozpoznawszy uniform oficerski i kilku policjantów, odźwierny pospiesznie otworzył bramę, przepuszczając wszystkich do wnętrza i przepraszając za chwilowe opóźnienie.

Oficer zrobił mu surową uwagę, że nie wolno spać przy bramie, i że źle spełnia swe obowiązki, poczem rozkazał zameldować o swoim przybyciu naczelnikowi więzienia i przeprowadzić się do kancelarji.

Wrota więzienne zapadły się z trzaskiem.

IV. Na Pawiaku.

W głębi więzienia policjanci znaleźli się na niewielkiem podwórzu wewnętrznem, otoczonym ze wszystkich stron gmachami więziennymi i murami. Rozsiedli się swobodnie na ganku, w oczekiwaniu na karetę więzienną; rotmistrz udał się do kancelarji.

Policjanci zachowywali się tak naturalnie, z taką nieprzymuszoną prostotą, że nie mogli wzbudzić jakiegokolwiek podejrzenia.

Jedni z nich drzemali, drudzy mieli tak obojętne fizjonomie, że nie zachęcali do rozpoczęcia z nimi rozmowy dozorców więziennych, którzy przez ciekawość wyszły na ganek.

Gdy jeden z dozorców zaczął coś mówić, starszy policjant zrobił wylękłą minę i uchylił się od rozmowy pod pretekstem, że naczelnik ich, rotmistrz, jest człowiekiem bardzo surowym i srogim.

Następnie starszy policjant przeszedł się kilka razy po podwórzu, zajrzał do okien kordegardy i przekonał się, że żandarmerja i konwój pogrążeni są we śnie mocnym.

W milczeniu, usiadłszy na stopniu ganka, ziewnął słodko i zwiesiwszy głowę na kolana, zaczął drzemać...

Ciemna, bezksiężycowa noc sprzyjała planom. Całe niebo pokrywały chmury ołowiane.

Wszystko zależało teraz od barona Budberga. Czy zdoła on otrzymać prędko towarzyszy? Czy nie wzbudzi w czemkolwiek podejrzenia?

Pod maską spokoju i zupełnej obojętności względem tego, co ich otacza, sześciu policjantów wsłuchiwało się pilnie, co się dzieje wewnątrz więzienia tam, za gankiem w kancelarji.

Chwyтали najmniejszy szmer, poruszenie, oczekując z bijącym sercem, czy nie odezwie się sygnał rotmistrza żandarmów, żeby natychmiast rzucić się mu na pomoc z rewolwerami w rękach i ogniem torować drogę sobie i swym uwięzionym towarzyszom.

W tym celu było omówione między nimi, że w razie, jeżeli mistyfikacja będzie zdemaskowana, przerwą natychmiast druty telefoniczne i sygnałowe, zapasowe rewolwery rozdadzą tym z uwięzionych, których zdążą wprowadzić do kancelarji i wspólnymi siłami napadną na administrację więzienia.

V. W kancelarji więzienia.

W tym samym czasie baron Budberg wszedł do kancelarji więziennej, podał rękę dyżurującemu pomocnikowi naczelnika więzienia, Maciulewiczowi, wręczył mu adresowany na imię naczelnika więzienia

zapieczętowany pakiet ze stemplem kancelarji warszawskiego oberpolicmajstra, opatrzony kolejnym numerem dziennika ekspedycji, z pieczęcią lakową oberpolicmajstra.

Adres na kopercie napisany był na maszynie piszącej.

Wręczając ten pakiet baron Budberg zapytał Maciulewicza:

— Czy wszystko gotowe do wyprawienia więźniów politycznych?

— Najmocniej proszę o wybaczenie — odparł tonem pokornego służbisty — pan rotmistrz będzie musiał chwilę zaczekać, jeszcze nie wszystkie papiery przygotowane. Niech pan będzie łaskaw spocząć.

Rotmistrz rozgniewał się za tę zwłokę i tonem zwierzchnika powiedział:

— Przecież pana uprzedził oberpolicmajster, by na chwilę mego przyjazdu było wszystko gotowe. Dlaczegoż ta zwłoka? Czy zapomniałeś pan, jak trzeba wypełniać rozporządzenia władzy?

— Proszę o wybaczenie panie rotmistrzu, upewniam jednak, że nie zawiniłem... skoro otrzymałem telefoniczny rozkaz jego ekscelencji, natychmiast siadłem do biurka przygotować papiery. Pan zabiera od razu tak wielu aresztantów, że nie miałem możliwości wypełnić wszystkich formalności kancelaryjnych w ciągu jakiejś pół godziny.... pozostało mi tylko kilka papierów.

— Spiesz się pan, żebym długo nie czekał i wydaj rozporządzenie wyprowadzenia aresztantów — łagodniej już powiedział baron Budberg.

Maciulewicz spiesznie wydał rozkaz kilku dozorcóm, sam zaś wziął się do pisania i jak służbista surowo zmonitowany przez zwierzchnika, utonął cały w papierach kancelaryjnych, obawiając się wywołać gniew rotmistrza.

I tak dalece zagłębił się w pracy, tak spieszył naprawić służbowe uchybienie, za które natarto mu uszów, że nie zwracał już na nic uwagi i nie wdawał się w żadne rozmowy.

A oto właśnie chodziło rotmistrzowi Budbergowi.

Usiadł on swobodnie przy stole naprzeciwko Maciulewicza, powoli wy dobył papierośnicę z bocznej kieszeni i zapałki; zapalił papierosa, poczem uważnie rozejrzał się wokoło, zapamiętał rozkład drzwi, miejsce, gdzie znajdował się telefon miejski, wewnętrzna sygnalizacja i dzwonki.

Kancelarja mieściła się w niewielkim względnie pokoju, zastawionym wszędzie stołami z brudną podłogą.

Baron Budberg oczekiwał spokojnie, nie okazując najmniejszego wzruszenia, lecz jednocześnie bacznie śledził każdy ruch Maciulewicza, szczególnie zaś wyraz jego twarzy.

Gdy Maciulewicz wziął do ręki otrzymany od rotmistrza pakiet, obrócił go w rękę, popatrzył na pleczęć i wreszcie otworzył, baron skupił na nim całą

uwagę, usiłując z wyrazu jego twarzy wyczytać czy w odezwie, nie znalazła się jakaś omyłka, czy zachowane w niej zostały ściśle i wiernie wszelkie jego subtelności kancelaryjne; czy nie nasunie mu się myśl, że wszystko jest mistyfikacją.

W nagłówku odezwy był litografowany stempel warszawskiego oberpolicmajstra z kolejnym numerem ekspedycji; cała jej treść drukowana była na maszynie, następnie szły podpisy: oberpolicmajstra, naczelnika kancelarji i sekretarza.

Odezwa nakazywała naczelnikowi więzienia śledczego wydać okazielowi pakietu, rotmistrzowi oddzielnego korpusu żandarmów von Budbergowi, dzieściu więźniów, z wymienieniem ich nazwisk i imion oraz z dokładnem wyszczególnieniem z czyjego rozkazu każdy z nich został uwięziony i w rozporządzeniu jakiej władzy pozostaje.

Przeczytawszy ten nakaz — Maciulewicz zrobił uwagę:

— Rzecz szczególna, doprawdy, oberpolicmajster daje rozkaz, abym wydał panu więźnia N., a tymczasem mam inne rozporządzenie, które otrzymałem dnia dzisiejszego, żebym wysłał go do gmachu sądu wojenego, gdzie ma być obecny przy rozstrząsaniu sprawy. Nic nie rozumiem! Cóż teraz robić?

Baron drgnął... nie wiedział on, że o jednym z więźniów wszczęto konferencję, by go przenieść gdzieindziej. Niemiła ta okoliczność mogłaby zepsuć

całą sprawę, gdyby Maciulewicz nie był tak przełęcznio-ny surowością rotmistrza.

Tak wiem o tem... wezmę go z sobą i oddam w kancelarji cytadeli, żeby stamtąd wyprawili go do sądu. Kończ pan prędzej!....

— Jak pan każe — zgodził się Maciulewicz pokornie i znów utonął w papierach.

Sprawdził on skrupulatnie wszystkie nazwiska z rozporządzeniem uprzednio otrzymanem przez telefon, a przekonawszy się, że niema omyłki, zaczął pisać.

Upływały długie chwile trwożnego oczekiwania... Baron liczył je z niecierpliwością, tłumiąc w sobie silne wzruszenie, gdyż wiedział, że każda minuta zwłoki może zaważyć na szali ich życia.

Pałił papierosy jeden za drugim, całą siłą hamując w sobie straszne napięcie nerwów.

Martwa cisza panowała wokoło...

Z poza grubych drzwi żelaznych, wiodących z kancelarji do więzienia, nie dolatywał najmniejszy szmer. Nic nie zdradzało jakichkolwiek przygotowań do wyprawienia więźniów, którzy lada chwila powinni być odstawieni do kancelarji.

Ta przygniatająca cisza, senny spokój więzienia przytłaczały barona; w duszy jego wrzało wszystko: wstał, żeby przejść się po pokoju.

Maciulewicz podniósł głowę, spojrzął w stronę rotmistrza i odezwał się nieśmiało:

— Żeby pan wiedział, panie rotmistrzu, jaką męką jest służba przy takich porządkach. Więzienie prze-

pełnione, co mówię — przepelnione — porostu nabite w dosłownem tego wyrazu znaczeniu. Napchano aresztantów dwa razy tyle, na ilu jest miejsc; stąd też wynikają różne nieprzyjemności, pretensje... Nie jesteśmy w możności spełnić ich żądań, a z drugiej strony władza wymaga najściślejszego wykonywania przepisów. Coś nie coś nie tak... natychmiast surowa nagana. A i aresztanci — lud niespokojny... Same nieprzyjemności... to nie służba, ale katorga!

— W takim razie powinienes pan być bardzo zadowolony, panie Maciulewicz, że zabieram od pana tak wiele aresztantów i jeszcze tak niebezpiecznych — powiedział baron z pewną ironją w głosie.

— Zapewne; ale co to znaczy dziesięciu ludzi, gdy chodzi o setki aresztantów, przepelniających więzienie.... ot, gdyby pan zwrócił uwagę władzy na to i gdyby ona zechciała to uwzględnić... lepiej byłoby żyć....

W tej chwili odsunęła się zasława drzwi żelaznych, wiodących do więzienia; baron zwrócił się z miejsca i skierowawszy wzrok w tym kierunku, czekał z niecierpliwością.

Drzwi się otworzyły, na progu ukazał się starszy dozorca i zwracając się do dyżurnego, raportował:

— W tej chwili będą wyprowadzali aresztantów. Wszystko gotowe.

VI. Nieszczęśliwy skazaniec.

Dnia tego ciężkie chwile przeżył M. jeden z więźniów. Rano do jego ciasnej, małej celi przyszedł w całym swym blasku generał, jeden z członków sądu wojennego i uroczyście wręczył mu akt oskarżenia z art. 273, grożącego mu karą śmierci. Widok tego sytego generała, pełnego zadowolenia, jego mundur błyszczący, ugrzecznioma mowa, przy okrutnych, niesprawiedliwych słowach aktu oskarżenia, wywarły na nieszczęśliwym młodzieńcu przynębiające wrażenie, chwilami zdawało się mu, że to był przebrany kat, który przyszedł z zamiarem pastwienia się nad nim i męczenia swej ofiary. Zapowiedź, że grozi mu kara śmierci uderzyła go jak grom; nie oczekiwał tego, gdyż był zupełnie niewinny, nie wiedział i nie rozumiał za co mogli go skazać na karę śmierci?

Przedtem wręczony mu był akt oskarżenia inny, z następstwem kary niewielkiej. I teraz nagle taka zmiana.

— Dlaczego? Jaka przyczyna? — gubił się w domysłach.

Po wyjściu generała wpadł w straszny rozstrój nerwowy, długo chodził z kąta w kąt po swojej celi, opuściwszy głowę. Niekiedy z piersi jego rwały się krótkie oderwane zdania, jakby odpowiedzi samemu sobie na męczące go pytania. Podniecenie jego rosło.

Zmęczona wyobraźnia nasuwała mu ponure obrazy: zdawało mu się, że wyrok już zatwierdzono i lada

chwila czeka go kaźń... Z oczyma pałającymi zatrzymał się pośrodku swej celi i z zamierającym sercem wsłuchiwał się w najłżejsze szmery, idące z korytarza, starał się rozróżnić kroki, zbliżające się do drzwi...

Z każdą chwilą oczekiwał, że oto otworzą się drzwi i na progu ukaże się czerwona figura kata...

Oczekiwanie to męczyło, jak zmora...

Lepiej skrócić, przerwać te straszne męki, lepiej samemu rzucić się w objęcia śmierci, niż czekać na nią z pokorą.

I nie mógł znieść tej męki. Wyczekawszy chwili, gdy szpiegowskie „oko“ we drzwiach przymknęło się, młodzieniec chwycił drżącymi rękoma prześcieradło i skręcił z niego sznur, którego jeden koniec przywiązał do kraty okiennej, z drugiego zrobił pętlę, zacisnął ją na szyi i zawisł...

W tej chwili z lekkim szmerem otworzyło się „oko nadzorcze“... drzwi naraz szumnie się rozwarły; wylękniony dozorca więzienny wpadł do celi i zdjął nieszczęsnego z pętli śmiertelnej. Złożono go na tapczanie, zawiadomiono naczelnika więzienia, zdwojono nadzór.

Długo leżał na tapczanie, wpatrzony nieruchomym wzrokiem w jeden punkt. Leżał nie czując, nie myśląc. Stracił świadomość tego, co go otaczało. O zwykłej porze przyniesiono mu obiad. Nie tknął go. Wieczorem przynieśli czajnik z wrzątkiem, zaproponowano naparzyć herbatę — odmówił. O 10-ej wieczno-

rem administracja więzienia, obchodząc więźniów, weszła do jego celi: on wciąż leżał obojętny, nie zdając sobie sprawy, gdzie jest i co się z nim dzieje?

Przyszła noc... zaczął drzemać, wpołleżąc na tapczanie. Sen złagodził jego cierpienia, zatarł w jego pamięci wszystko, co było męczące i straszne, a co przeżył w tym dniu fatalnym; w czarownych rojeniach roztoczyły się przed nim inne obrazy, radosne; w jego zgorączkowanym mózgu powstały, jak żywe, wspomnienia drogich lat dziecięcych.

Za drzwiami zaskrzypiała zasuwa żelazna, ozwał się ostry metaliczny dźwięk drzwi otwieranych, na progu stanął starszy dozorca więzienny, żołnierz z karabinem i kilku innych dozorców w głębi.

Starszy dozorca, zwracając się do więźnia, powiedział tonem suchym:

-- Zbierz pan swe rzeczy i wychodź.

Zerwał się naraz z tapczana, usiłując oprzytomnieć, gdzie jest? Co to za ludzie i czego chcą od niego? Otrząsnąwszy się z rojeń sennych, — zrozumiał, że to kaci, którzy poprowadzą go na kaźń, na szafot i z piersi jego wyrwał się jęk rozpaczny:

-- Za co?

Nie było wątpliwości, że prowadzą go na kaźń. Gdzieżby indziej w tak późną noc; niebawem świtać zacznie... Dozorca milczał: wyraz jego twarzy był chłodny, obojętny jakby drewniany, widząc jednak powolność ruchów więźnia, zaczął go gniewnie pobudzać, mówiąc, że oczekują go w kancelarji.

Nieszczęsny młodzieniec!... domyśla się on, że tam — w kancelarji czeka go kat w czerwonej koszuli, czarna kareta, zwiększony konwój... a tam — śmierć!

Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, poszedł za strażnikami więzienia.

Wszedłszy do kancelarji, zobaczył kilku innych więźniów, których zapewne oczekiwał taki sam los oplotakany. Tu znajdowała się i straż więzienna i oficer żandarmski.

Ten ostatni odrazu zwrócił uwagę na tego blade-go, zmieszanego młodzieńca, zrozumiał jak wiele przeżył on w ciągu ciężkich chwil oczekiwania śmierci.

VII. Piekło niepewności.

Wprowadzono innych aresztantów i niewielki pokój kancelaryjny stawał się coraz ciasniejszy.

Baron Budberg z niecierpliwością oczekiwał, kiedy nareszcie skończą się te przygotowania, i pilnie śledził za niemi.

Na twarzach wszystkich więźniów wypisane było wzruszenie trwożne: gubili się w domysłach, dlaczego wyciągnięto ich z cel więziennych, w noc tak późną i dokąd ich wieść zamierzają?

Gdyby tylko miano ich przewieźć do innego więzienia, możnaby było zrobić to również dobrze we dnie, a nie nocą. Dlatego można przypuszczać, że wywożą ich teraz w innym celu, być może na miejsce kaźni?

To pytanie męczące świdrowało ich mózg.

W tem baron Budberg uczuł na sobie spojrzenie jednego z aresztantów i gdy oczy ich spotkały się, poznali się wzajemnie.

Uwięziony odrazu domyślił się, dlaczego jego towarzysz przebrał się w uniform żandarmski i dokąd ich teraz powiozą. Spotykał się z nim dawnej w Polskiej Partji Socjalistycznej, gdzie wspólnie pracowali.

Radość nieopisana odbiła się mimowoli na twarzy więźnia i baron Budberg wyczytał w jego oczach tak bezgraniczne poddanie się i wdzięczność, że zląkł się o pomyślny wynik całej sprawy.

Z miejsca też odwrócił się do niego plecami i żeby dozorca więzienny nie zauważył błęgiego, pełnego szczęścia wyrazu twarzy aresztanta. odezwał się do dozorczy w tonie ostrym i rozkazującym, czyniąc surową uwagę za powolność wyprawiania więźniów, poczem skierowali się do wyjścia.

Dozorca zląkł się, zaczął się gorączkować i z kolei, gdy groźny rotmistrz wyszedł z kancelarji, wpadł z gniewem na strażnika więziennego i zmył mu głowę porządnie. Wyszędłszy na ganek, rotmistrz spotkał się ze starszym strażnikiem więzienia i krzyknął surowo:

— Pospieszyc! Wyprowadzac aresztantow!

To rzekłszy, wyszedł na podwórko zobaczyć czy przygotowaną została karetka więzienna i czy wszyscy policjanci są na miejscu. Tu odetchnął pełną pier-

się, wciągając głęboko świeże powietrze nocne i tem uspokoił nieco nerwy.

Cisza nocy, panującej nad wszystkim dodała mu energii i nadziei w pomyslane zakończenie niebezpiecznej imprezy. Kareta stała już przed gankiem. Tu też znalazł on swoich, niby to drzemiących, policjantów.

— Baczość! do szeregu — zakomenderował.

Policjanci odrazu zerwali się na nogi i wyciągnęli klinem między gankiem i drzwiami karety, w ten sposób, żeby żaden z więźniów nie mógł uczynić nawet próby ucieczki.

Wytworzyła się sytuacja interesująca w wysokim stopniu: ludzi ci przybyli do więzienia, żeby uwolnić swoich towarzyszy, lecz jednocześnie, znając wybornie psychologję aresztantów, musieli wyteńczyć uwagę, żeby który z nich nie spróbował uciec lub nie okazał zbrojnego oporu, gdy będą wprowadzali ich do karety.

Najzwyczajniejsze to zjawisko w życiu więziennem — ucieczka w czasie przewożenia — mogła zupełnie zepsuć całą sprawę; rozpaczna determinacja którego z nich, mogła przeszkodzić w zwróceniu im wolności.

Zabezpieczywszy wszelkie środki ostrożności rotmistrz powrócił do kancelarji, dokąd przeprowadzono już wszystkich więźniów w liczbie dziesięciu.

Obejrzał on ich uważnie i raz jeszcze oczy jego spotkały się z wejrzeniem towarzysza, doskonale pojmującego teraz ostateczny cel mistyfikacji.

Dyżurny w więzieniu, Maciulewicz, zwrócił się do rotmistrza z następującą propozycją:

— Panie rotmistrzu, trzeba zwiększyć pański konwój, ja dam moich ludzi. Mam straż konną.

Na tę propozycję Budberg nieprzyjemnie się zasepił, lecz zdobył się w odpowiedzi na ton miękkiej:

Nie, nie potrzeba! Moi chłopcy są ludzie pewni... ufam im... wszystko zuchy... Dopełnij pan przeglądu aresztantów w mojej obecności.... tylko prędzej!

Maciulewicz zaczął wywoływać nazwiska więźniów z listy.

Ta rozmowa o wzmocnieniu konwoju wywarła fatalne wrażenie na niektórych więźniach, którym wydało się, że istotnie powiozą ich na kaźń.

Baron Budberg widział, jak jeden z nich, w przekonaniu, że go niebawem rozstrzelają, zbladł trupio i drżącymi rekami zbierał swe rzeczy, ręce jego tak się trzęsły, że w żaden sposób nie mógł związać dwóch książek i woreczka z cukrem. Żał było patrzeć na niego, lecz mimo to nie można było dodać mu otuchy.

Po sprawdzeniu baron Budberg pokwitował z otrzymania więźniów, gdy położył już swój podpis, rzucił obsadkę na podłogę, czyniąc gniewną uwagę, że pióro było niemożliwe. Dyżurny tak wziął to do serca, że zaczął łajać starszego dozorcę od ostatnich, nie zważając nawet na obecność rotmistrza. Ten dołożył jeszcze i od siebie, gromiąc go surowo, że bez względu na jego rozkaz zbyt długo marudził z jednym z aresztantów.

Otrzymawszy tyle surowych napomnień, starszy dozorca zupełnie stracił głowę i znikł z oczu zwierz-

chników, a tymczasem zaczęto wyprowadzać więźniów na ganek.

W ostatniej chwili dyżurny Maciulewicz, nie należąc widocznie do ludzi zbyt odważnych, znów wystąpił z propozycją:

— Panie rotmistrzu, niech pan nie naraża siebie na nieprzyjemne wypadki w drodze. Wszystkiego można oczekiwać. Radzę, żeby pan przybrał jeszcze straż konną. Dla mnie nie sprawi to najmniejszej trudności.... ludzie w tej chwili będą gotowi.

— Wszakże już raz panu powiedziałem, że nie potrzebuję konwoju—odparł rotmistrz opryskliwie—dlaczego więc pan mnie nudzisz? Moi chłopcy to zuchy i żadnej pomocy nie potrzebują.

Maciulewicz umilkł, poczuwając się do winy, że ośmielił się dwukrotnie niepokoić rotmistrza swemi obawami.

VIII. Porwanie więźniów.

Gdy pierwsi aresztanci ukazali się na ganku, starszy policjant zakomenderował:

— Obnażyć szable!

Policjanci przysunęli się ciasniej do otwartych drzwiczek karety, z obnażonemi szablami. Starszy policjant wprowadzał każdego po kolei do karety i pedantycznie spełniał wszelkie możliwe ostrożności, w tych wypadkach przepisane. Kareta więzienna, zaprzężona w parę koni, składała się z dwóch części,

przedzielonych jedna od drugiej przegrodą opatrzoną w drzwi.

W pierwszej części, bliżej woźnicy, umieścili sześciu więźniów, poczem starszy policjant zatrzasnął drzwi wewnętrzne i zamknął je na klucz. Pozostawiało umieścić jeszcze czterech do drugiego przedziału karety, bliżej drzwi zewnętrznych.

W tej chwili na ganku ukazał się aresztant Judycki, który znany był w więzieniu jako człowiek opętany manją ucieczki. Wykonał on już raz próbę, lecz nieudaną, w tym czasie, gdy go przyprowadzono na śledztwo do sędziego śledczego.

Jego pragnienie zrzczenia z siebie kajdan więziennych było tak wielkie, tak gorąco i szalenie rwał się do wolności, że stracił głowę i nie zdawał sobie sprawy, że próba ucieczki, gdy szedł przez miasto, pod konwojem, nie miała żadnych szans powodzenia, rzucił się do ucieczki bez upamiętania, lecz natychmiast był pochwycony przez konwój i okrutnie zbity. Bili go wtedy bezlitośnie, z okrucieństwem, wymierzając na nim całą wezbraną w nich złość za szaloną próbę ucieczki.

I oto teraz na ganku ukazała się jego nieszczęsna pokaleczona figura, z zaciekami krwi na twarzy. Na jedną sekundę zatrzymał się on i rozejrzał, jak zwierzę osaczony, jakby kombinując, w którą stronę rzucić się do ucieczki, czy niema gdzie jakiej niewidzialnej szczeliny, żeby z całą rozpaczą człowieka, zdecydowanego

na wszystko, skoczyć tam; śmierć w walce była wyjściem najlepszym i najbardziej upragnionym.

Starszy policjant od razu odgadł jego zamiary i groźnie krzyknął:

— No, no... dokąd? Nie „ujdziesz“!

To rzekłszy, pochwycił go za kołnierz i wepchnął do karety.

Dyżurny pomocnik naczelnika więzienia, stojący w tym czasie na ganku i przyglądający się w milczeniu tej scenie, bezwiednie pomyślał, że istotnie nie potrzebują oni dodatkowego konwoju, później jednak, gdy ucieczka została ujawniona, Maciulewicz opowiadał, że gdy zobaczył, jak policjanci wypełniali swe czynności i jak starszy z nich załatwił się zrzęcznie z Judyckim, zdradzającym zamiary ucieczki, wówczas błysła mu myśl, że nie są to prawdziwi policjanci z surowej szkoły policyjnej, lecz udani, którzy przybyli tu, żeby go tak fatalnie urządzić...

Gdy starszy policjant umieścił w karecie już wszystkich aresztantów, na rozkaz rotmistrza, który w tej chwili wyszedł na ganek, polecił jednemu z policjantów wsiąść do karety i zamknął za nimi drzwi, poczem rozkazał dwóm innym usiąść na kozioł przy woźnicy, a trzem pozostałym zająć miejsce z tyłu powozu.

W tej chwili brama roztworzyła się, kareta więzienna wyruszyła na ulicę i skręciła na prawo od bramy.

Budberg pożegnał się wówczas z Maciulewiczem, wyszedł za bramę i wsiadłszy w dorożkę odjechał.

Jego rola była skończona.

Wypełnił on ją z nadzwyczajną precyzją i spokojem, jak to mógł uczynić człowiek, działający w imię idei, całą duszą oddany na jej usługi, niepomny na własne „ja“, na własną pomyślność i szczęście.

Na tem zdawało się, zakończyły się główne i najbardziej niebezpieczne momenty przedsięwzięcia. Uciekinierzy znajdowali się już poza więzieniem, chociaż w zamkniętej karecie więziennej, na której koźle siedział w charakterze woźnicy — stróż więzienny.

Baron Budberg już powrócił do domu, gdzie przez nikogo niezauważony, przebrał się po cywilnemu i najspokojniej siedział w przyjacielskiej kompanji opowiadając swym towarzyszom najdrobniejsze szczegóły wyprawy nocnej.

IX. Ucieczka.

W istocie jednak, dopełnioną była tylko pierwsza połowa skomplikowanego i trudnego przedsięwzięcia, pozostawała druga, chociaż mniej niebezpieczna, lecz bądź co bądź ryzykowna operacja pozbycia się agenta policyjnego, który przy najmniejszym podejrzeniu, mógł w każdej chwili wszcząć alarm i popsuć całą sprawę.

Wszędzie po ulicach snuły się patrole wojskowe.

przy pomocy których łatwo było udaremnić ucieczkę, tak pomyślnie dokonaną z murów więziennych.

Wszystko teraz zależało od umiejętności i przytomności umysłu starszego policjanta.

Lecz w jaki sposób uwolnić się od tego niepożądanego świadka na koźle?

W jego rękach lejce, on kieruje kareta... A chociaż, narazie nie zwrócił uwagi na to, że kazano mu jechać w przeciwnym kierunku od cytadeli, motywując to koniecznością wstąpienia uprzednio do 3 cyrkułu, skąd dopiero mieli wrócić się do cytadeli, mógł jednak w każdej chwili odgadnąć mistyfikację i oddać wszystkich w ręce władzy.

Zadanie ciężkie i trudne... Wymagało ono przytomności i odwagi....

Wielkiem utrudnieniem była ta okoliczność, że stracono zbyt wiele czasu wewnątrz więzienia, i że świt się przybliżał.

Pierwsze przebłyski budzącego się ranka już się wyczuwały w powietrzu i snuły w mgle na poły przezroczystej, otaczającej kontury przedmiotów.

Nie można już było tracić czasu...

Oto już niedaleko ów cyrkuł, muszą koniecznie zawrócić w drugą stronę. Za chwilę, być może, zostaną zdemaskowani, o ile nie uda im się pozbyć woźnicy więziennego.

Chwila stanowcza nastąpiła... należało działać.

I oto, nagle, dał się słyszeć głośny okrzyk starszego policjanta:

— Stój - ój.... Koło!....

Ten niezrozumiany okrzyk wywołał jednak wrażenie, woźnica wstrzymał konie, nie pojmując co mogło się stać; siedzący obok niego pseudo-policjant zeskoczył z kozła, a za jego przykładem poszedł i woźnica, oddawszy lejce drugiemu policjantowi, poczem obydwaj podeszli do tylnego koła, w pobliżu którego stał schylony starszy policjant, nader uważnie przypatrując się czemuś; gdy tamci podeszli, starszy policjant, wskazując palcem na oś, powiedział:

— Patrz, patrz, co się zrobiło?

Ten z kolei nachylił się i mocno wyciągnął się ku przodowi, usiłując rozpatrzyć się w tem, na co wskazywał policjant.

I w tej to chwili, naraz, z obydwóch stron pochwyciły go dwie pary silnych rąk; momentalnie zatknano mu chustką usta, żeby nie mógł krzyczeć, poczem podniesiono go do góry, i bez najmniejszego hałasu, bez jakiegokolwiek walki, wsunięto go do wnętrza karety więziennej i złożono na ręce siedzących tam czterech areztantów i jednego z pseudo-policjantów.

Tam nakazano mu, żeby leżał spokojnie i nie próbował uczynić coś takiego, co mogłoby im zaszkodzić, gdyż momentalnie go zasztyletują.

Woźnica przyjął to naturalnie do wiadomości i leżał spokojnie, bojąc się nawet oddychać.

Ze strachu dusza uciekła mu w pięty...

X. W karetce więziennej.

Nigdy przedtem, we wnętrzu tej ciemnej, dusznej karety więziennej nie wyczuwały się tak ostre wrażenia i emocje duchowe, jak owej nocy.

Zaledwie karetka wyruszyła wolno w drogę i znalazła się za bramą więzienia, policjant, zwracając się do aresztantów, powiedział:

— Towarzysze!.... Czy poznajecie nas? Nie upłyło kilka minut, a będziecie wolni... Winszuję wam!

Te słowa raziły ich jak grom. Były one tak nieoczekiwane, że w pierwszej chwili nikt temu nie uwierzył.

Policjant powtórzył pytanie:

— Czyż nie możecie mnie poznać towarzysze!

Dopiero teraz zrozumieli wszystko... Zrozumieli, że to nie strażnicy policyjni, lecz swoi, którzy szli na śmierć, żeby ich wybawić od śmierci.

Szczególnie szaloną radość odczuł M. W ciągu tych krótkich chwil przeżył on niezapomniany nigdy w życiu moment przejścia od przygnębiającego, ponurego nastroju, wobec oczekiwanej śmierci do uniesień pełni życia na wolności.

Ten gwałtowny przeskok od śmierci do życia wstrząsnął całe jego jestestwo duchowe, wypełniając jego i serce uczuciem tryumfu.

Nagle karetka stanęła...

Wszyscy drgnęli i wytężyli czujność. Zrozumieli,

że w tej chwili nastąpi ważny moment uwolnienia się, od woźnicy więziennego.

Każdy zadrzał mimowoli na myśl:

— Czy się uda?

Pseudo-policjant rozdał pospiesznie wszystkim uciekinierom zapasowe rewolwery, jakie miał przy sobie, otworzył przegrodę wewnętrzną i wsłuchiwał się trwożnie w to, co się działo nazewnątrz karety.

Po upływie kilku ciężkich minut naprężonego oczekiwania, dało się słyszeć jakieś zamieszanie, tupanie nóg, następnie drzwi zewnętrzne karety otworzyły się i rzucono im na kolana ajenta policyjnego, zdrętwiałego ze strachu.

Drzwi zatrzasnęły się i kareta pomknęła spiesznie w dalszą drogę.

Wszyscy odetknęli z uczuciem bezmiernej ulgi.

XI. Ocalenie.

Teraz towarzysze mogli przypuszczać, że są już blisko celu, o ile tylko, jakaś nieprzewidziana okoliczność nie popsuje im szyków. Trzeba się spieszyć, żeby zdążyć na krańce miasta, w miejsce poprzednio umówione. Droga była jeszcze daleka, trzeba było przejechać całe miasto i dosięgnąć ogrodów... Czasu pozostało niewiele.

Na dalekim horyzoncie zajaśniało wąskie pasmo świtu. Nowy woźnica nieustannie popędzał parę sy-

tych, mocnych koni i karetą mknęła bardzo prędko, spotykając na drodze patrole wojskowe i pojedynczych opóźnionych przechodniów, nikt jednak nie zwracał uwagi na to, dokąd tak pędził powóz więzienny i jaki jest przy nim konwój.

Wreszcie ukazały się małe drewniane domostwa, długie parkany i ulice niebrukowane.

Karetka wyjechała już na przedmieście Warszawy i spieszyła minąć je prędeż, gdyż punkt upatrzony leżał jeszcze w znacznej odległości, tam, gdzie zaczęła się głucho pustkowiec podmiejskie.

Tu nikogo już nie spotykali na drodze, gdyż wszystko było we śnie pogrążone.

Było to na rękę uciekinierom.

W tym czasie, gdy karetą pędziła po ulicach Warszawy, na drugim jej krańcu, na pustem, porośniętym trawą podwórzu, grupa rewolucjonistów oczekiwała z denerwującą niecierpliwością. Byli oni delegowani przez partję na sukurs towarzyszom i stanowili rezerwę.

Obowiązkiem ich było zabrać wszystkie rewolwery i, w razie potrzeby lub jakiegokolwiek alarmu torować drogę ogniem.

Zbyt długo wyczekiwali karety więziennej i przejęci byli ogromnym niepokojem, gdy ta nie zjawiała się w oznaczonym czasie.

— Czem tę zwłokę objaśnić? Czy nie stanęło coś na przeszkodzie? — myśleli pełni trwogi.

Podwórze leżało na pustkowiu bezludnem. Było ono otoczone drzewami, krzakami i gęsto porośniętą trawą*); dalej ciągnęły inne ogrody i niewielkie pola.

Miejsce było bardzo odpowiednie, by bez przeszkody przebrać się, ukryć konie i kareta więzienną.

Odszukanie takiego miejsca, odpowiadającego wszelkim ostrożnościom, wymagało wiele czasu i trudu, żeby usunąć zamki i zapory u wrót i zawładnąć nimi na czas oznaczony, co wszystko trzeba wykonać bez zwrócenia uwagi sąsiadów.

Sam właściciel podwórza znajdował się w tym czasie w mieście, nie wiedząc o niczem.

Towarzysze wsłuchiwali się pilnie w najmniejsze szmery, w dalekie, ledwie dostyszalne odgłosy, idące z wielkiego miasta. Serca ich biły trwożnie...

Lecz oto doleciały jakieś niepewne dźwięki, daleko, daleko... Potem dał się słyszeć tupot nóg końskich, coraz wyraźniej, coraz bliżej. Można już było rozróżnić ciemne kontury długiego pudła...

Wrota otwarły się momentalnie i gdy kareta woczyła się na podwórze, konie przywiązano do drzew, otworzono drzwi więziennego pudła i wyciągnięto stamtąd nieprzytomnego ze strachu woźnicę, którego usta wciąż były chustką zatkane; związali mu sznurkiem jedwabnym ręce i nogi, umocowali lepiej chust-

*) Sześciomorgowy ogórek B-ci Hoserów, znajdujący się przy ul. Żytniej Nr. 34, róg Okopowej na Woli.

kę, skropili ją chloroformem, by mocniej zasnął i wepchnęli ponownie do karety.

Kilku towarzyszków było zdania, aby go pozbawić życia, gdyż go znano jako skończonego łotra, który brał czynny udział w biciu towarzyszy i odznaczał się szczególnem okrucieństwem oraz talentem szpiegowskim.

Prócz tego, niektórzy wskazywali na niebezpieczeństwo oszczędzania jego życia, ze względu na to, że weźmie żywy udział w poszukiwaniach. Nie zgodzili się na to inni, twierdząc, że jeżeli się obejdzie bez rozlewu krwi, wrażenie będzie daleko silniejsze.

Ułożywszy woźnicę wewnątrz karety, zamknęli za nim drzwi na klucz, poczem zaczęli prędko przebierać się, zrzucając z siebie uniformy i broń.

Każdemu z uwolnionych wręczono uprzednio przygotowane paczki, w których były: pieniądze, paszport zagraniczny, adres ze wskazaniem, gdzie ma przenocować, maszynka do strzyżenia włosów, zapalki i papierosy, które dano im, by uwolnić uciekinierów od konieczności wstępowania do dystrybucji. Ubranie złożono do karety i wszyscy towarzysze, pożegnawszy się serdecznie, zaczęli rozchodzić się w niewielkich grupach.

Odszedłszy na dalszą już odległość, jeden z towarzyszy przypomniał sobie nagle o wielkiej nieostrożności, jaką popełnił, przebierając się; w pośpiechu zapomniął w kieszeni swego szynela policyjnego notat-

kę z dokładnym adresem, gdzie miał przemocować jeden z uwolnionych.

Wracać się tam na miejsce, było rzeczą ryzykowną, poprawienie więc tego przeoczenia było spóźnione i niemożliwe; pozostawał środek ostatni — pospieszyć do mieszkania, wskazanego na adresie, uprzedzić wszystkich o niebezpieczeństwie grożącym, z tem, by mieszkańcy wynieśli się natychmiast, zacierając za sobą wszelkie ślady. Tak też uczyniono.

Gdy rano, dnia następnego, do mieszkania tego przybyła policja, najmocniej przekonana, że w jej rękach znajdują się ślady ucieczki dokonanej i, że niebawem pochwyci osoby, biorące w niej udział, w mieszkaniu nie znaleziono żywej duszy.

XII. Zakończenie.

Nastąpił ranek. Administracja więzienia śledczego „na Pawiaku“ była niepomiernie zdziwiona, czemu tak długo nie powraca karetka więzienna i zatelefonowała do cytadeli, pytając o przyczyny opóźnienia. Odpowiedziano stamtąd, że wogóle nie pojmują wcale o co tu chodzi.

Wówczas zatelefonowano do kancelarji oberpolicmajstra, z prośbą o wiadomość, dokąd odwieziono dziesięciu aresztantów z więzienia śledczego na mocy rozporządzenia oberpolicmajstra Meyera i czy nie można przyspieszyć odesłania karetki więziennej, nie-

zbędnie potrzebnej do wyprawienia kilku więźniów do sądu.

I oto dopiero teraz wyjaśniło się, że pułkownik Meyer nie dawał żadnych rozporządzeń, i że wszystko, co zaszło było mistyfikacją dla dokonania zbiorowej ucieczki. Rozpoczęło się poszukiwanie karety, koni i woźnicy.

Po upływie wielu godzin usilnych poszukiwań we wszystkich stronach miasta, udało się trafić i do tej głuchej pustki — miejsca ostatnich śladów ucieczki. Związany woźnica spokojnie spał. Dalsze ślady przepadły jak kamień w wodę.

Najgorliwsze poszukiwania nie doprowadziły do żadnych rezultatów.

Cała policja postawiona była na nogi.

Powozący karetą wziął w poszukiwaniach naj-energiczniejszy udział. Wynałazł on aż sześciu baronów Budbergów i dwóch starszych policjantów.

Później wszakże po stwierdzeniu osobistości, trzeba było ich wszystkich uwolnić; widocznie woźnica pod wpływem strachu, jaki przeżył, zupełnie zatracił w pamięci fizjognomje, przelotnie widziane.

Opowiadają o jednym z dziesięciu uwolnionych, że następnego poranka udał się on do fabryki, gdzie poprzednio pracował i gdzie mu przypadały jeszcze do odbioru pieniądze.

W kantorze fabryki zdziwiono się, zobaczywszy go na wolności.

Nie odpowiadając, w jaki sposób i odkąd znalazł się na wolności i nie wdając się z nikim w jakiegokolwiek wyjaśnienia, otrzymał należną mu zapłatę i natychmiast się oddalił.

W mieście ucieczka ta sprawiła ogromne wrażenie. Na ścianach domów naklejono następnego dnia odezwy z podpisem centralnego komitetu Polskiej Partji Socjalistycznej o tem, że tej nocy uwolniono przez nią z więzienia śledczego dziesięciu ludzi, którym groziła kara śmierci, oraz że uwolnieni znajdują się bezpieczni poza granicami wpływów władzy.

Nie wiem, czy rzeczywiście tak było, lecz w jednym z dzienników polskich opowiedziano następujący wypadek nieporozumienia między oberpolicmajstrem Meyerem, a nowym urzędnikiem, który w więzieniu zastąpił Maciulewicza.

Oberpolicmajster wezwał przez telefon dyżurnego w więzieniu i zawiadomił go, że przyśle żandarma i karetę po kilku aresztantów politycznych.

— Co — z oburzeniem zapytał dyżurny — żandarma i karetę?... Mówi oberpolicmajster... nie wierzę!... Znamy się na tem. Idźcie do czarta... póki nie zadzwonię do wydziału ochrony!...

Daremnie rzeczywisty oberpolicmajster starał się go przekonać, że to on, prawdziwy oberpolicmajster, nic nie pomogło, wskutek czego pułkownik Meyer musiał posłać swego pomocnika.

Ciekawym w najwyższym stopniu w życiu więzienia śledczego był ten moment, gdy dnia następnego, po wywiezieniu dziesięciu uwięzionych, całe więzienie polityczne obudziło się i przeraziło tą okolicznością.

Wszystkim wydało się dziwnem i niepojętem: dokąd i w jakim celu wywieźli najbardziej oskarżonych.

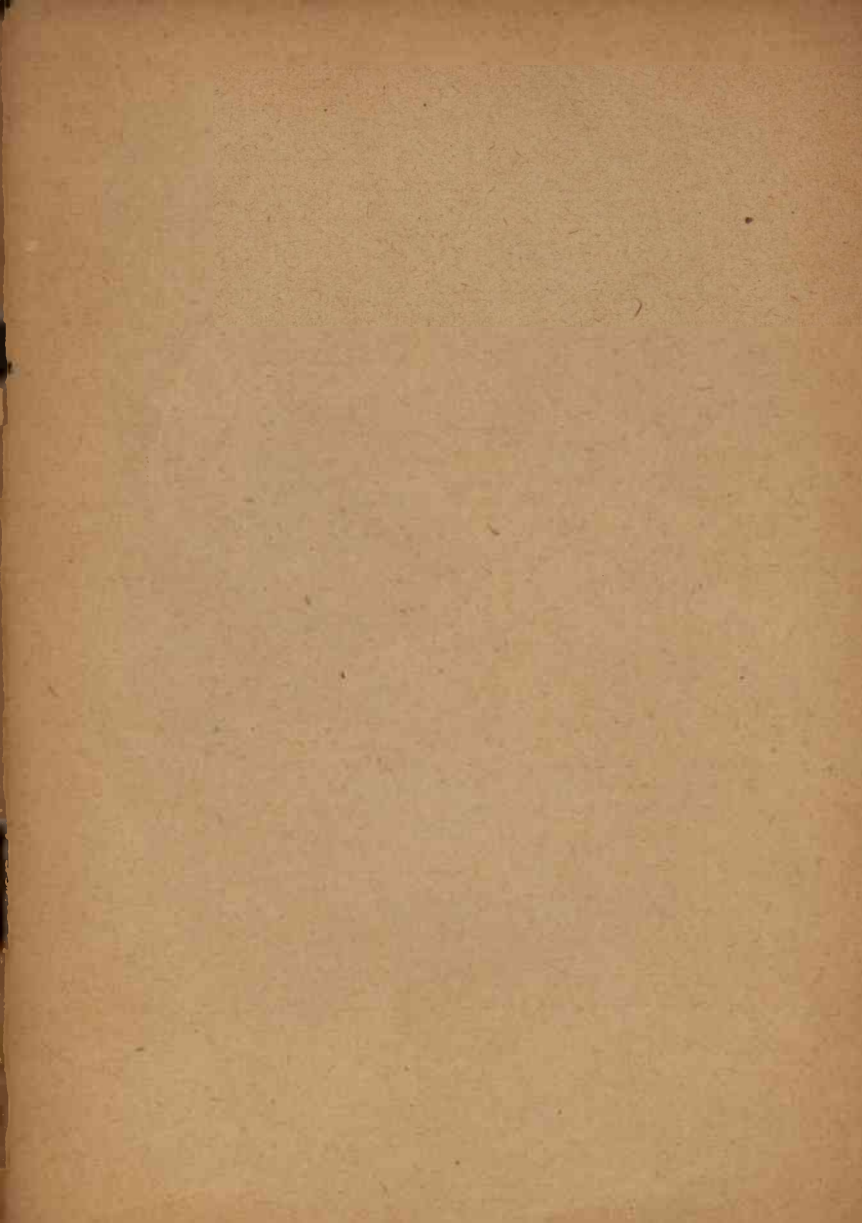
Niektórym przedstawił się straszny obraz niezwłocznej ich kaźni... Niedawny przykład rozstrzelania bez sądu 16 osób z mocy art. 12 stanu wojennego, jeszcze bardziej wzmocnił przypuszczenie kilku towarzyszy, że i tych dziesięciu wywieźli poto, żeby ich stracić o świcie.

Wszyscy z tego powodu przyżyli ciężkie chwile niepewności.

Pytali nadzorców dokąd i w jakim celu wywieziono nocą towarzyszy, lecz odpowiedzi nie otrzymali. Jakież było ich zdziwienie, gdy po przybyciu pustej karety, zaczęto z niej wyrzucać szynelę policjantów, czapki i szable.

Jak błyskawica, obleciała po całym więzieniu wieść, że wszyscy towarzysze uciekli, że są teraz na wolności, i że w dniu wczorajszym odegrano komedję wobec administracji więziennej.

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN



Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 35680



1000182634



Grupa 10 męczyzn biorących udział w uprowadzeniu więźniów z Pawiaka.
(Oznaczony X odegrał rolę rotmistrza von Budberga)
Fotografia (amatorska) zdjęta w Krakowie w roku 1906 dla „Nowosci Ilustrowanych”.